

Wywiad z dnia 2007-06-28



Nazywam się Barbara Bojanowska-Ziemska, urodziłam się w Koźminie 15 kwietnia 1923 roku. Pseudonim powstańczy „Maja”, byłam łączniczką w Pyrach pod Warszawą. Formacja „Obroża”, Batalion „Krawiec”...

Tak.

Proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie, rodzicach, gdzie pani mieszkała?

Mieszkałam najpierw w Koźminie – bardzo krótko. Mój tatuś był pomologiem – skończył studia w Warszawie. [Rodzice] mieszkali w Warszawie. Brali ślub w katedrze Świętego Jana w Warszawie. Tata dostał pierwszą pracę w Koźminie i dlatego tam się urodziłam. Byliśmy tam krótko. Jakiś czas później mieszkaliśmy w Poznaniu. Kiedy miałam około dziesięciu lat wróciliśmy do Warszawy i tutaj spędziłam dzieciństwo i młodość. Chodziłam do żeńskiej szkoły pani Roszkowskiej-Pylewskiej w Warszawie na Bagateli 14, przy Placu Unii Lubelskiej. Chciałam powiedzieć, że miałam bardzo patriotyczne wychowanie i pokazać dokumenty, jak mój tatuś będąc studentem, zgłosił się na ochotnika do walki w 1920 roku. Ten dokument jest dla mnie bardzo ważny. Jak również [mam] list, który napisał do swojej narzeczonej będąc uczestnikiem powstania w 1920 roku. Tam jest pieczętka polowa.[...]

Czy miała pani rodzeństwo?

Siostrę młodszą o dziesięć lat. Kiedy zaczęło się Powstanie, ja miałam szesnaście lat, a moja siostra Teresa miała sześć.

Jak pani wspomina przedwojenną Warszawę?

Wspaniale. To było miasto wesole. Nie trzeba się było niczego obawiać. Raz w roku chodziliśmy do brata mojego dziadka na bardzo uroczyste przyjęcie: był kucharz w [śmiesznym] nakryciu głowy, była beczułka śliwownicy... To były wspaniałe przyjęcia, które do dzisiaj pamiętam. I dlatego o tym mówię, bo wracaliśmy wtedy w nocy. I noc w Warszawie była wesola, przyjemna! Ludzie się w ogóle nie bali. Ja nie wiedziałam, co to znaczy bać się. Ludzie byli bardzo życzliwi dla siebie. Nie mogę się w ogóle znaleźć w obecnej Warszawie...

A czy był w przedwojennej Polsce antysemityzm?

Ja sobie tego nie przypominam. W szkole miałam w klasie osiem Żydówek, z którymi się bardzo lubiłyśmy. Do tej pory utrzymuję z jedną kontakt – ze Swerą Sarnówną, która mieszka na Starym Mieście. Została żoną Uniechowskiego – tego znanego. Nigdy nie było żadnego antysemityzmu. To jest dla mnie coś zupełnie obcego. Miałam przecież tyle koleżanek i siedziałam przecież z nimi tyle lat – z Zosią Bocianówną, później jeszcze z Sabcią Długoszówną... Nie było mowy o tym w ogóle. Tak że to są rzeczy dla mnie zupełnie obce.

Ale część z nich nie przeżyła wojny?

Oczywiście. Przed wojną należałam do zuchów i naszą komendantką była Żydówka, już nie pamiętam jej imienia i nazwiska, która została zamordowana. Dopiero po wojnie się o tym dowiedziałam. Bardzo ją lubiliśmy.

Jak pani zapamiętała wybuch wojny we wrześniu 1939 roku?

To było straszne, bo mimo wszystko się nie spodziewaliśmy. Chociaż miałam zaproszenie od koleżanki na Wileńszczyznę pojechać na cały miesiąc z Zosią [Bocianówną]. Byli tam także państwo Racewiczowie. Mówiła mi, że będziemy jeździły bryczką od jednego dworu do drugiego i bardzo się na to cieszyłam, ale tatuś powiedział: „Nie, ja się boję, żeby nie wybuchła wojna”. Bo zaproszenie dostałam na sierpień. No i tatuś mnie nie puścił i jednak nie pojechałam. Byłam w domu.

Pamiętam ten dzień, kiedy się zaczęła wojna i przyszedł do nas robotnik mieszkający w tym samym domu i mówi: „Panie profesorze, a co to jest takiego?”. A tatuś mówi: „Nic, nic. Niech Antoni się nie przejmuję, to są ćwiczenia”. No i nastawiliśmy radio i usłyszeliśmy: „Tora, Tora. Nadchodzi. Nadchodzi. Przeszedł”. To było coś niesamowitego i od tej chwili całkowicie zmieniło się moje życie. Kompletnie. Byłam rozpieszczona, nieźle się nam powodziło. Jeszcze w sierpniu miałam Francuzkę, uczyłam się francuskiego – pamiętam, jak uciekałam na drzewo, bo musiałam stale mówić po francusku. I zmieniło się wszystko.

Mnie się zdaje, że ja się od razu tak zmieniłam, że jak się zwolniło u nas służącą, to wzięłam miskę z wodą i zaczęłam szorować schody, bo mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. A myślę, że zawdzięczam to nie tylko wychowaniu w domu, ale również książkom, które czytałam, a które mam do tej pory. I uważam, że te książki nauczyły mnie naprawdę dużo, bo to były książki naprawdę dobre: „Mała Księżniczka”, „Wytrwałość a pracą” (powieść dla młodzieży - M. JERLICZ, 1902), „Dług ojcowski”, „Zamek z piasku”. I pamiętam te książki, które po prostu wychowywały. Ja z dnia na dzień się zmieniłam – sama się dziwię.

Jak pani się zetknęła z konspiracją?

Z konspiracją zetknęłam się w ten sposób, że bardzo przyjaźniłyśmy się we trzy: Basia Konopnicka-Łączyńska, Basia Jakubowska (później nazywała się Ulatowska) i ja. To były Basie: biała, czarna i czerwona, bo ja miałam rude włosy. I pewnego dnia Basia mi zaproponowała: „Czy chcesz z nami pracować, bo my już należymy do związku?”. Nie wiem, czy to było już AK? Ja mówię: „Oczywiście”. Byłam wtedy u niej, zostałam zaprzysiężona, pocałowałam krzyż i złożyłam przysięgę. I tak się zaczęło.

Czy przechodziła pani jakieś kursy?

Nie. Specjalnie nie. Mówili nam trochę, jak się mamy zachowywać. Jak przechodzimy, to żeby być uśmiechniętym, patrzeć Niemcom prosto w oczy, jakby nigdy nic. I ja się tak zachowywałam.

Czy miała pani jakieś zadania do wykonania?

Najpierw przewoziłam prasę. Dali mi prasę, więc pożycztałam od naszego piekarza, pana Wandla, rower, bo nie miałam roweru i jeździłam do Piaseczna do Halszki i zawoziłam dużą paczkę prasy. Już teraz nie pamiętam jej nazwiska. Wiem, że to była Halszka, ale nie wiem, czy to było imię, czy pseudonim. I tak zawoziłam tę prasę przez szereg lat. Później z Halszką jeździliśmy w teren z jakimiś zadaniami. Już nie pamiętam, gdzie jeździliśmy. I co jeszcze? Patrzyliśmy, jakie są numery samochodów. Ja je zapamiętywałam, miałam wtedy świetną pamięć, ale i zapisywałam je sobie. Potem przekazywałyśmy te numery dalej i sprawdzaliśmy, jakie były ruchy aut. Tym bardziej że Niemcy byli w Pyrach w lesie. [...] To było bardzo ważne, gdzie jeżdżą te auta czy ciężarowe, gdzie skręcają. Ja często byłam z siostrą, bo była o dziesięć lat młodsza, więc szłam sobie z nią, rozmawiałam i zapisywałam. I później podawałyśmy to [dalej]. To było bardzo

potrzebne. Nie miałam jakichś zadań specjalnych, tylko takie. Miałam zadanie specjalne przed samym Powstaniem, co uważam, że było trochę lekkomyślne, bo my mieliśmy Niemców. Oni u nas kwaterowali. Raz SS, raz Wehrmacht. Nie wolno nam było zamykać drzwi, bo powiedzieli, że jak oni są, to my jesteśmy bezpieczni. Chodziłam do szkoły kreślarek, niby to była taka szkoła, ale właściwie to była żeńska szkoła architektury, taka jak przed wojną, i tam uczyli nas profesorowie z Politechniki i z Akademii Sztuk Pięknych, jak na przykład profesor Soliński. I ponieważ moi koledzy i koleżanki z AK wiedzieli o tym, to przynieśli mi, żebym przerysowywała mapy sztabówki. Przerysowywałam sztabówki. Siedziałam i przerysowywała sztabówki Lasów Kabackich i Chojnowskich – te fragmenty, które oni mi kazali. Mamusia o tym nic nie wiedziała – myślała, że ja pracuję, kreślę. Mnie się zdaje, że była to trochę lekkomyślność, bo jak by tak weszli i zobaczyli te sztabówki. A ja miałam taką lekkość rysowania (mam ją z resztą do tej pory), że nie musiałam mieć żadnego krzywika, nic, i mogłam rysować. Mogłam rysować i to szybko, tak że dużo narysowałam fragmentów Lasów Kabackich i Chojnowskich. Później chodziłyśmy z Zosią Pietrzakówną, która miała pseudonim „Marta”, na Służew z różnymi wiadomościami do rodziców powstańców, szyłyśmy przed Powstaniem opaski dla powstańców. Oprócz tego wyjeżdżałam z Halszką – niestety nie pamiętam, dokąd.

A Niemcy, którzy u was mieszkali, jak się zachowywali względem pani i pani rodziny?

Bardzo grzecznie dla nas. To się mówi, że „złodziej nie kradnie na swoim podwórku”. Byli bardzo grzeczni. Mnie to nawet życie uratowali. Po Powstaniu Niemcy szukali młodych, to oni powiedzieli mamusi, żebym przyszła do nich, to mnie schowają za szafę. Poszłam do nich i tam siedziałam, bo im nie wolno było wejść tam, gdzie byli Niemcy. Nie wolno im było, więc się schowałam i siedziałam za tą szafą. To był jeden gest, jaki dla mnie zrobili, a drugi, to kiedy pożyczałam rower od pana Wandla, jak jeździłam. Mówili: „Co pani? Znowu ten rower pani musi nieść?”. Także oni byli dla nas bardzo grzeczni, nawet kiedy się upili, to tłukli szkło u siebie. Okropnie się zachowywali, ale do nas nie. Raz było SS, raz Wehrmacht. Myśmy nie mieli stale jednakowych. Baliśmy się, ale co mieliśmy [robić]. To był jeden z większych domów w Pyrach. Dom murowany, piętrowy. Nie to, co jest teraz, że tyle pięknych willi.

Czy ten dom jeszcze stoi?

Tak.

A na jakiej ulicy?

Transportowców 1.

Kiedy Niemcy pomogli pani, chowając panią za szafę, to było SS?

Nie, to był Wehrmacht. Oni mówili mamie, że jestem ładna. Raz jeden z nich przyszedł, kiedy ja już leżałam w łóżku, usiadł i patrzył na mnie i mówił, że mam ładne czarne oczy, a ja truchlałam, bo miałam pod łóżkiem przygotowany koszyczek z gazetkami. Myślałam, że on usiadł koło mnie, a te gazetki się rozleczą... Moja mamusia przecież nic nie wiedziała. Mogła się domyślać, bo mnie czasem parę dni nie było. Gdy jeździłam w teren, to mnie nie było parę dni...

A tata?

Tata już chorował. Mój tatuś, jak poszedł na ochotnika w 1939 roku (poszedł na ochotnika, nie dostał wezwania), to wrócił po paru tygodniach chory – wychudzony, starzec. Ja tatusia nie poznałam. I od tej pory chorował i w 1950 roku umarł. Już nigdy nie doszedł do siebie. Był wielkim patriotą, strasznie to przeżył. Poszli we trzech z panem Pietrzakiem – ojcem Zosi, z którą najwięcej współpracowałyśmy i z piekarzem Wandlem. Później wrócili, ale mój tatuś już nie doszedł do siebie. [...]

Jak tata miał na imię?

Marian.

Jak pani pamięta dzień 1 sierpnia 1944 roku?

[...] Pierwszego dnia Powstania byłam u państwa Konopnickich. Nie wiedziałam, że Powstanie ma wybuchnąć 1 sierpnia. Wtedy zobaczyłyśmy jakieś ruchy – już nie pamiętam jakie i zorientowałyśmy się, że to początek Powstania. W czasie okupacji musiałam na rok przerwać naukę, bo Niemiec, Westrych, był okropny, przyszedł do mojej mamusi i powiedział: „Pani Bojanowska albo Basia będzie pracować u mnie w sklepie albo wyjedzie do Niemiec. Niech pani wybiera”. On miał trzy córki, ale dwie z nich uciekły i były z nami w AK. A ja musiałam przerwać naukę i pracować w sklepie, bo nie miałam wyjścia. Pamiętam, że jak pracowałam w sklepie, to jego żona mi powiedziała: „Proszę pani, widzi tu pani cukier. Proszę odjąć z każdego opakowania po jednym deku”. Ja przecież nie odjęłam. Przyszła, sprawdziła i powiedziała: „Nie posłuchała się pani! Będzie pani siedziała dotąd, aż pani wszystko znowu przeważy!”. Może to się teraz wydaje śmieszne, o czym mówię... Ale mój tatuś, już bardzo schorowany, przyszedł po mnie o ósmej – a o tej porze już nie wolno było chodzić. Mówię: „Po co tatuś przyszedł o tej porze?”. „Bo my się o ciebie bardzo martwimy. Jest godzina policyjna. Co to będzie?”. Ja mówię: „Muszę to wszystko przeważać”. Potem przyszły do mnie kobiety i mówią: „Proszę pani, my wiemy, że u pani w domu jest bardzo ciężko, bo my panią znamy, ale dlaczego pani to zrobiła?!”. Odpowiedziałam: „Zaraz paniom powiem”. I poprosiłam żonę Westrycha i powiedziałam: „Proszę powiedzieć paniom, dlaczego kazała mi pani odejmować po jednym deka”. I ona im zrobiła straszną awanturę, że tutaj jest wilgotny worek... Później byłam, jak przyszło dwóch – ja o niczym nie wiedziałam, bo nie chcieli mnie narażać – przyszli go zabić. Powiedziałam mu: „Proszę pana, jakichś dwóch młodych ludzi do pana”. Patrzę, a on nagle na czworakach pobiegł do drugiego pokoju. Oni uciekli. A w końcu było tak, że nasz dowódca, Staszek Mielczyński, go zabił. I jak on go zabił, to wszyscy uciekliśmy.

Za co on dostał wyrok śmierci?

Wiele ludzi wydawał. Westrych był okropny.

Wydawał też Polaków?

Oczywiście.

A Żydów?

Nie wiem, czy Żydów, bo tam u nas Żydów nie było, ale myślę, że tak. Dostał za to wyrok śmierci i Staszek Mielczyński go zabił. Zdaje mi się, że zabił go w Dąbrowce. Pojechaliśmy najpierw do Olbryszów (jeden z nich już nie żyje) [...], a później pojechałam do mojej babci do Warszawy, bo myśmy się po prostu bali. Był też drugi taki Niemiec, ale dostał zawiadomienie, że jeżeli coś powie, jeżeli komuś z nas, z młodzieży coś się stanie, to go zabiją. I był idealny. Westrych tak postępował, a ten tak, no i żył. Nikt mu nic złego nie zrobił.

Westrych prowadził sklep w Pyrach?

Tak, jego córki prowadziły.

Gdzie się znajdował ten sklep?

Dawniej była w Pyrach stacja kolejowa i jego sklep był niedaleko, jak się jedzie w kierunku Piaseczna. Jego sklep był niedaleko stacji kolejki grójeckiej.

Czy pamięta pani, przy jakiej to było ulicy?

Przy Puławskiej.

A czy stoi jeszcze ten budynek?

Nie. Ani stacji kolejowej już nie ma. To jest ciekawa historia, którą zna bardzo mało osób. Kiedy robiłam pracę doktorską i zbierałam różne materiały, to natrafiłam na to, że stacja kolejowa dawniej była karczmą. I były tam stajnie. Był budynek karczmy i stajnie, które bardzo długo istniały. Ale to już nie były stajnie, tylko zostały przerobione na sklep. Tak że moja, świętej pamięci, mamusia pamiętała, że tam była klinika lalek. Mało osób wie, że Pyry były osadą karczemną. Trafiłam na to szukając różnych materiałów. Pyry były osadą karczemną.

A te dwie Niemki wstąpiły do AK?

Tak.

Czy to znaczy, że one się czuły Polkami a nie Niemkami?

Tak.

Czy one przeżyły wojnę?

Tak, przeżyły. Jedna z nich nawet, Hania, odbierała moje dziecko, bo była lekarzem. I Zosia, i Hania przeżyły.

A żyją jeszcze?

Nie wiem. Może wie Basia Konopnicka.

Nigdy pani z nimi nie rozmawiała, że ich ojciec wydaje ludzi?

Nie. No jak...

A czy nie było obawy, że one będą szpiegami?

Nie. My je znałyśmy dobrze. One nikogo nie wydawały. Pytała pani, czy dostawałyśmy jakieś dyrektywy. Ja dopiero później dowiedziałam się, jak mam się zachowywać. Dostałam polecenie, żeby iść na ulicę Wierzbową (nie pamiętam dokładnie) do jakiegoś punktu. Poszłam, patrzę, a to jest zapieczętowane. [...] Tak się złąkłam, że uciekłam. Mogło się skończyć strasznie. Mogli mnie zaarrestować. Dopiero później mi powiedzieli: „Słuchaj, nie powiedzieliśmy ci, ale jak kiedyś zobaczysz, że drzwi są zapieczętowane, to trzeba spokojnie przejść. Iść na piętro, drugie... Czy zadzwonić do kogoś, zapytać lub nie... Ale nigdy nie wolno postąpić tak, jak ty zrobiłaś. To się mogło źle skończyć”. Tak że później nam mówili, jak mamy się zachowywać. [...]

Wracając do Powstania, to pani nie wiedziała, że wybuchnie Powstanie?

Nie.

Jak potoczyły się pani losy w Powstaniu?

Chodziłyśmy i jeździłyśmy do rodziców i zawiadamiałyśmy o losach ich synów w Powstaniu: czy ktoś zginął, czy coś... Chodziłyśmy z Zosią i zawiadamiałyśmy. Ja nie byłam w lesie z koleżankami, ale byłam delegowana w odwrotnym kierunku, do Pruszkowa–Żbikowa, bo w Żbikowie był punkt. Nie pamiętam, na jakiej ulicy. Miałam dokumenty, które musiałam im przekazywać. Tylko pamiętam, że jak byłam w Żbikowie – na rowerze – to kawał drogi, to wyjeżdżałam na kilka dni, ale miałam matkę chrzestną w Pruszkowie, mogłam tam nocować. Syn mojej matki chrzestnej to Zdzisław Zaborski – jest bardzo zaangażowany i dużo pisze. Tak że u nich nocowałam i jeździłam do Żbikowa z dokumentami i pamiętam, że pytałam, czy mogę dostać

trochę miodu, ale nie pamiętam, co mnie odpowiadano. Jeździliśmy, chodziliśmy, szliśmy... Ja nie miałam jakichś specjalnych wyczynów.

Patrząc z perspektywy miejscowości podwarszawskich, widziała pani, jak Warszawa płonie...

Tak. To było dla mnie straszne... Nie chcę mówić, bo się rozplaczę... Miałam sympatię, który zginął na Starym Mieście... Tak... Widziałam... Także jak strzelali na Warszawę, czasem z naszej ulicy, to było straszne...

A co to był za chłopak?

Nie mogę powiedzieć. Nie powiem. W każdym razie z rodziną utrzymuję kontakt.

Czy pani dowiedziała się dopiero później o tym, że zginął na Starym Mieście?

Tak... Koleżanka moja też zginęła na Starym Mieście. A druga koleżanka, która siedziała za mną w szkole, bo chodziłyśmy razem do żeńskiej szkoły, była żoną [Krzysztofa Kamila] Baczyńskiego – Basia Drapczyńska. Tak że doskonale ją znałam. Wanda Suleżyska zginęła też na Starym Mieście. [...] Na Powązkach, na cmentarzu wojskowym, jest duża tablica, na której wymieniono szereg osób, które zginęły i jest tam także imię i nazwisko Wandy. Chyba Wanda Suleżyska. Pamiętam, że jej siostra przyjeżdżała do mnie i pytała o wiadomości na jej temat. To są już bardzo osobiste sprawy.

Czy widziała pani Powstańców i ludność cywilną wychodzącą z Warszawy?

Oczywiście. Przecież wiele osób nocowało w naszym domu: koleżanki, profesor od fizyki. Bardzo dużo osób przyjmowaliśmy. Kto przychodził, to u nas nocował. Niektóry nawet dłużej. Pamiętam jedną panią z dwiema córkami, która była u nas w kuchni przez dwa czy trzy lata. Mieliśmy jeszcze drugi drewniany dom, w którym długi czas mieszkała jakaś rodzina. Oczywiście my nic z tego nie mieliśmy – ani grosza nie braliśmy. Wiem, że niektórzy ludzie brali pieniądze, ale my nie braliśmy nic, ani grosza. Mamusia by nigdy w życiu nie wzięła

A czy nie miała pani takich momentów z kolegami, z koleżankami, żeby się przedzierać do Warszawy?

Nasi koledzy poszli do Warszawy, ale nas nie wzięli. Żadnej z nas, łączniczki, nie wzięli. Ale sami poszli.

Dlaczego nie chcieli was wziąć?

Trudno mi powiedzieć, ale myślę, że się o nas bali. Może nie powinnam tego powiedzieć. Nie wiem, dlaczego nas nie wzięli. Poszli sami. Nie wszyscy...

Co najbardziej utkwilo pani w pamięci z okresu Powstania?

Z Powstania Warszawskiego utkwila mi w pamięci płonąca Warszawa i jak strzelali do nas z ulicy.

Kto strzelał z ulicy?

Niemcy czy bolszewicy... Chyba Niemcy. Chociaż bolszewicy też już przychodzili. Już stali pod Warszawą. Był wiersz: „Czekamy ciebie czerwona zarazo...”. Już teraz nie pamiętam wszystkiego. Pamiętam tylko, jak oni przyszli do nas, jak Niemcy wychodzili w szyku – widziałam z okna z pierwszego piętra w domu – wychodzili w szyku. I pamiętam po jakimś czasie, jak przychodziły do nas grupy oberwańców. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte, bo panicznie się

ich baliśmy. Pamiętam, jak do nas przyszli z wojskiem polskim. Tak patrzyliśmy na siebie... Pamiętam, jak przyszedł dowódca rosyjski z paroma swoimi – był bardzo grzeczny i tamci też nic nie mówili. Tylko jeden spojrzał na zegarek, który stał na kredensie i zapytał moją babcię, która godzina. Uciekaliśmy...

Co się działo, jak przyszli Rosjanie? Czy nastąpiło jakieś rozprężenie? Czy czuliście państwo, że wojna się skończyła?

Jakie rozprężenie?! Jak ich zobaczyliśmy, to struchleliśmy w ogóle! To było straszne.

Kiedy pani później pojechała do Warszawy?

Nie pamiętam... Po Powstaniu pojechałam do Warszawy i pamiętam jedno, że wzięłam różaniec i chodziłam po tych wertepach i się modliłam. To był mój pierwszy dzień, kiedy byłam w Warszawie po Powstaniu.

To był już styczeń?

Już nie pamiętam, który to był miesiąc... Nie pamiętam.

Dlaczego pani przyjęła pseudonim „Maja”?

To jest dla mnie tak osobiste, że aż nie wiem, czy powinnam powiedzieć... To jest początek imienia i nazwiska człowieka, którego bardzo kochałam, a który zginął.

Jak wybuchło Powstanie, miała pani dwadzieścia jeden lat?

Tak, dwadzieścia jeden.

Gdyby pani miała znowu dwadzieścia jeden lat i trzeba byłoby pójść do Powstania, poszłaby pani?

Tak.

Warszawa, 28 czerwca 2007 roku
Rozmowę prowadziła Małgorzata Brama

WYPIS INFORMACJI :

Barbara Bojanowska-Ziemska, urodziła się w Koźminie 15 kwietnia 1923 r., gdzie jej ojciec, Marian Bojanowski, pomolog dostał pierwszą pracę. Około 1933r. rodzice z córkami wrócili do Warszawy.

Kiedy zaczęła się wojna, Barbara miała szesnaście lat, a jej siostra Teresa - sześć. Z konspiracją zetknęła się przez jedną z przyjaciółek. Były trzy przyjaciółki: biała - Basia Konopnicka (później Łączyńska), czarna - Basia Jakubowska (później Ulatowska) i czerwona – czyli Basia Bojanowska (Ziemska), bo miała rude włosy.

Przyjęła pseudonim powstańczy „Maja”, była łączniczką w Pyrach pod Warszawą. Należała do Formacji „Obroża”, Batalionu „Krawiec”.

Po wojnie skończyła studia na Wydziale Architektury PW i pracowała z tym zawodzie do emerytury.

Jej wielką pasją są kwiaty i to właśnie je uwiecznia w swoich rysunkach.